

Krzysztof Ulanowski
Paulina Maria Wiśniewska

„Zesztłam na psy...”



Opowieść o Krystynie Seemayer
i jej niezwykłym „Staruszkowie”

Zesłał na psy...

Krzysztof Ulanowski
Paulina Maria Wiśniewska

Zesłałam na psy...

Opowieść o Krystynie Seemayer
i jej niezwykłym „Staruszkowie”



Recenzja:

prof. UW, dr hab. Ksenia Kakareko,
dr Danuta Piniewska-Róg, UJ

Redaktor prowadzący:

dr Sebastian Surendra

Korekta: dr Anna Surendra

Korekta: dr Anna Surendra, dr Sebastian Surendra

Skład i łamanie: Maciej Torz

Projekt graficzny okładki: Studio Graficzne SILVA RERUM

Zdjęcia na okładce oraz wewnątrz książki:

Krzysztof Ulanowski oraz archiwum prywatne Krystyny Seemayer

Tło okładki wydania kolorowego: Autor rolffimages Depositphotos_499379952_XL

© 2025 by Wydawnictwo Naukowe SILVA RERUM

All rights reserved

ISBN 978-83-67222-82-2 Książka w miękkiej oprawie (kolor)

ISBN 978-83-67222-83-9 Książka w miękkiej oprawie (czarno-białe)

ISBN 978-83-67222-84-6 Publikacja elektroniczna online lub do ściągnięcia

Wydanie I: Wydawnictwo Naukowe SILVA RERUM

www.wydawnictwo-silvarerum.eu

Poznań 2025

Druk i oprawa:

Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak sp. j., ul. Piwna 1, 61-065 Poznań

Skład ukończono w styczniu 2025

Spis treści

1. Ważna jest droga i ważny jest jej kres	9
2. Mieszkała w budzie i jadła z psiej miski	13
3. Jest czas powitań i jest czas pożegnań.	19
4. Miłość nie liczy doznanych krzywd	25
5. Historie, o których zapomnieć nie wolno	31
6. Z wcale nie aż tak małą pomocą przyjaciół	35
7. Nie lubi sztucznego świata, plastikowych ludzi doprowadza do łez	39
8. Hejt w internecie wpływa na świat realny	43
9. Nienawiść robi nam dziurę w sercu.	49
10. Sytuacja prawna zwierząt w Polsce	55
11. Ciemna liczba zwierzęcych ofiar	61
12. „Długo mam na was czekać?”	67
13. Przyjaciele zwierząt o pani Krystynie.	71
14. „Przez moje ręce przeszły setki psów”	81
Paulina M. Wiśniewska, <i>Krystyna Seemayer i jej „Staruszkowo” w aspekcie prawnym, społecznym i medialnym</i>	117

O Pani Krystynie Seemayer, prowadzącej dom spokojnej starości „Staruszkowo” dla „niewidzialnych” dla ludzkiej obojętności psów, słyszałam już przed laty. Pani Krystyna też jest niewidzialnym, ale Aniołem, bo to, co robi, jest przejawem najwyższego wtajemniczenia w prawdziwe człowieczeństwo. Moim zdaniem tacy jak Ona mają pełne prawo powiedzieć: człowiek - to brzmi dumnie. Wiem, czym jest opieka nad wykluczonymi zwierzętami, i wiem, że ludzie dający im dom i miłość zasługują na najwyższe uznanie. Na laury, którymi nikt ich nie przystraja. Chciałabym, by każdy zrobił rachunek sumienia i przyznał, jak często pochylił się nad starym, chorym psem. Niewielu i bardzo niewielu poświęciło im życie - i to nawet wówczas, gdy były jeszcze młode.

Dorota Sumińska

Słowo od recenzentów

Tekst przez swój interwencyjny charakter wnosi istotne walory poznawcze, wskazując jednocześnie na potrzebę doprecyzowania norm prawnych i właściwego przeszkolenia podmiotów stosujących prawo. Obnaża jednocześnie schematyczność działań funkcjonariuszy, także sędziów i prokuratorów, stosujących prawo i brak z ich strony empatii. (...) Recenzowane teksty napisane zostały w sposób jasny i klarowny. Autorzy wykazują umiejętności dziennikarskie, sprawnie posługują się językiem polskim, słownictwo kolejnych rozdziałów jest bogate, pozbawione kolokwializmów, niepotrzebnego rozciągania. Wciąża z łatwością czytelnika w przedstawianą problematykę.

prof. UW dr hab. Ksenia Kakareko

Książka *Zeszłam na psy* to opowieść o hospicjum „Staruszkowo” dla starszych i schorowanych psów. Ich aniołem stróżem jest Krystyna Seemayer, która wspiera swoich podopiecznych i otacza bezwarunkową miłością, a na ostatniej drodze ich życia przeprowadza przez „tęczowy most” i zachowuje na zawsze we wspomnieniach. W tych wszystkich jej działaniach nie brakuje pomocy ludzi dobrej woli i wolontariuszy, ale są też osoby, które rzucają kłody pod nogi. Pani Krystyna musi twardo stąpać po ziemi, bo od tego zależy nie tylko dobro, ale również życie jej zwierząt, a każdy ich dzień jest darem. Pomimo różnych przeciwności losu jej praca oraz oddanie zostały docenione przez społeczeństwo – w 2018 r. otrzymała tytuł „Serce dla zwierząt”. Jednak, jak sama twierdzi, „największą z największych nagród potrafią przyznać jej sami czworonożni podopieczni i nagrodzić człowieka za uczynione im dobro, choć na własnych zasadach”. Krystyna Seemayer potrafi zdziałać cuda i zmieniać świat zwierząt na lepsze.

W książce został również poruszony temat sytuacji prawnej zwierząt w Polsce. Pomimo istniejącej ustawy o ochronie zwierząt oraz odpowiednich przepisów przemoc wobec zwierząt wciąż bywa lekceważona, a zdecydowana większość odnotowywanych przypadków nie znajduje odzwierciedlenia w statystykach spraw prowadzonych przeciwko sprawcom takich przestępstw.

Serdecznie polecam książkę, która pokazuje ogrom serca Krystyny Seemayer w tak wymagającej opiece nad psami ze „Staruszkowa”. Sama jestem właścicielem kolejnego już psa ze schroniska, a czasem chwilową przystanią dla zwierząt z interwencji, i bardzo doceniam poświęcenie, jakiego wymaga stawianie takich psów na cztery łapy, oraz walkę, jaką należy stoczyć z codziennością.

dr Danuta Piniewska-Róg, UJ

1. Ważna jest droga i ważny jest jej kres

Mam wrażenie, że „Staruszkowo”, prowadzone przez Krystynę Seemayer hospicjum dla starszych i chorych psów, znajduje się niemal na krańcu świata. Nawet zasięg telefonu komórkowego nie jest tam niczym pewnym.

A przecież znajdująca się w granicach powiatu lubańskiego dolnośląska wieś Krzewie Małe usytuowana jest niemal u stóp Karkonoszy, najpopularniejszych gór w zachodniej części Polski. Naprawdę niedaleko stąd do modnych miejscowości turystycznych, zatłoczonych tak zimą, jak i latem. Z Krzewia Małego jest ok. 50 km do Karpacza, 40 km do Szklarskiej Poręby, a tylko 20 km do Świeradowa-Zdroju. Z tego ostatniego kurortu kierowca dotrze przed bramę hospicjum w niecałe pół godziny, a sprawny rowerzysta w godzinę.

W okolicy Krzewia Małego można trafić nawet absolutnym przypadkiem. Kiedy wracaliśmy autokarem z morsowania w czeskiej Mumlavie (górski potok w Karkonoszach) i zatrzymaliśmy się na obiad w przydrożnej restauracji, zorientowałem się nagle ze zdumieniem, że jesteśmy w Krzewiu Wielkim, dosłownie o rzut kamieniem od znanego mi już Krzewia Małego, w którym gościłem zaledwie kilka miesięcy wcześniej.

A jednak wszystko jest względne. Mieszkam na północy Polski, niemal nad samym morzem, więc kiedy Wydawnictwo Silva Rerum zleciło mi napisanie reportażu i książki o „Staruszkowie”, najpierw musiałem zastanowić się, jak tam właściwie dotrę. I faktycznie, okazało się to dość skomplikowane. Nie mam samochodu; nigdy nie był mi do niczego potrzebny. Wtedy stwierdziłem jednak, że w tym momencie akurat by mi się przydał. No ale przecież nie będę specjalnie kupował auta dla jednego reportażu czy choćby nawet dla jednej książki!

Zdecydowałem się zatem – poza ostatnim odcinkiem trasy – na komunikację publiczną. I była to prawdziwa wyprawa, która w pewnym sensie okazała się także podróżą po części sentymentalną.

Najpierw pociągiem dojechałem do Poznania, gdzie w nieistniejącej już restauracji wegetariańskiej przy Rynku Jeżyckim spotkałem się z moją redaktorką, żeby

omówić szczegóły zlecenia. Redaktorkę znam z czasów, kiedy jeszcze mieszkałem w Poznaniu, więc przy okazji wspólnie odbyliśmy małą wycieczkę w przeszłość. Kręcenie się po jeżyckich ulicach, legendarne lody na Kościelnej, spacer przez Park Wodniczki... Wspomnienia!

Potem znów w pociąg i do Wrocławia. Tam kolacja w kolejnej wegetariańskiej knajpce, z wrocławskim kolegą, którego nie widziałem od lat. Wegetariańskiej, bo obaj nie jemy zwierząt. A spotkanie oznacza kolejną podróż w przeszłość. I kolejne zwiedzanie miasta w dobrym towarzystwie.

Wreszcie nocleg w hostelu, który okazuje się obiektem bezobsługowym, czyli takim, w którym nigdy wcześniej nocować mi się nie przydarzyło. Co rodzi na początku pewne, choć na szczęście niewielkie, problemy. No cóż, odrobina nowoczesności i człowiek się gubi.

Szczęśliwie hostel ma też jedną, ale za to dużą zaletę – znajduje się stosunkowo niedaleko dworca. Z samego rana siedzę więc już w kolejnym, tym razem lokalnym, pociągu i zmierzam w kierunku Jeleniej Góry. A tam przed dworcem odbiera mnie pani Anita, z którą już wcześniej telefonicznie umówiłem się na podwózkę. Pani Anita jest jedną z wolontariuszek w „Staruszkowie”. Na szczęście nie robię jej problemu, bo i tak się do Krzewia Małego udawała. Jako że jednak pasował jej poranek, a to ona robi mi uprzejmość, zdecydowałem się na wariant podróży z noclegiem we Wrocławiu.

Droga samochodem z Jeleniej Góry do Krzewia Małego trochę jednak trwa, mamy więc czas, żeby chwilę porozmawiać. A że jedynym tematem, o którym wiemy, że nas łączy, jest pani Krystyna, rozmawiamy rzecz jasna o niej.

Wolontariuszka nie szczędzi swojej przełożonej komplementów, chwali ludzi, którzy jej pomagają, i nie szczędzi krytyki tym, którzy rzucają jej kłody pod nogi. Ja tymczasem powoli buduję w głowie obraz osoby, o której mam pisać.

Tak po prawdzie zacząłem ten obraz budować już wcześniej. Nie mogłem przecież przyjechać do „Staruszkowa” z zaskoczenia. Umówiłem się na wizytę telefonicznie, a przy okazji porozmawiałem z panią Krystyną. Zatem wiem, że jest to osoba w wieku dojrzałym, ale trzeźwo patrząca na świat, o wrażliwym sercu i grubej skórze, poobijana przez życie, ceniąca konkrety.

No i lubiąca też wtrącać w środek zdania słowo „kurde”, czasami nawet kilka razy zanim skończy zdanie. Taki jej znak rozpoznawczy. Kiedy zresztą już później dowiem się więcej o trudnym dzieciństwie i młodości pani Krystyny, będę nawet zdziwiony, że pozostałością po tej przeszłości wydaje się być tylko ten jeden delikatny wulgaryzm. Bo z tak bogatą przeszłością znakomita więk-

szość ludzi skończyłaby moim zdaniem zupełnie gdzie indziej, władając zupełnie innym słownictwem. Wróćmy jednak z przeszłości do terażniejszości. Swój obraz w głowie mam, ale kiedy widzę przed sobą malowniczo przyozdobioną bramę „Staruszkowa”, przekraczam ją z pewną taką nieśmiałością. Wszyscy mamy zakodowane pewne stereotypy dotyczące starszych pań opiekujących się dużą liczbą psów, kotów czy gołębi. Bynajmniej nie są to stereotypy wyłącznie pozytywne.

Nie jestem wyjątkiem i również takie stereotypy mam. Lubię zwierzęta, staram się ich nie krzywdzić. Jestem weganinem, czasem wezmę udział w zrzutce na zwierzęta w potrzebie, wychowałem psa wziętego z ulicy, a drugiemu psu, który okazał się cukrzykiem, ofiarowałem – w pewnym sensie – drugie życie. Naprawdę staram się starać. Jednak dom, w którym ktoś trzyma pół setki psów, postrzegam jako – delikatnie ujmując – dość radykalny wybór drogi życiowej.

Każdy, kto jest opiekunem psa i chce być opiekunem odpowiedzialnym, doskonale wie przecież, że już jeden czworonóg to jest kotwica. Nie tylko wtedy, kiedy zwierzę jest już w podeszłym wieku lub choruje. Także i wtedy, kiedy musimy dokąds wyjechać, a nie mamy możliwości wyjazdu wraz ze zwierzęciem. Sam wielokrotnie korzystałem w takich sytuacjach z nie aż tak niewielkiej pomocy przyjaciół, którzy chcieli i potrafili być pomocni. Wciąż jednak chodziło tylko o jednego psa, nawet jeśli był to pies z cukrzycą. Ale gdybym miał pod opieką kilkadziesiąt psów? Nawet nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

Zresztą nie oszukujmy się, „kocie i psie mamy” postrzegane są przecież często przez społeczeństwo jako osoby o dobrym sercu, ale nieco odklejone od rzeczywistości, nieco zwariowane. W mediach przecież niejednokrotnie podawano przykłady kobiet, które przyjęły pod swój dach tyle zwierząt, że w efekcie nie były im w stanie zapewnić należytej opieki. Zapewne chciały dobrze, ale warunki życia pod ich dachem pozostawiały wiele do życzenia.

Jak wkrótce okazuje się jednak, pani Krystyna zwyczajnie nie może sobie pozwolić na najmniejsze nawet oderwanie od rzeczywistości. Musi stąpać twardo po ziemi, bo od tego zależy nie tylko dobro, ale też życie kilkudziesięciu istot. A jeśli nawet nie życie, bo przychodzi czas, kiedy życia już nie da się uratować, to przynajmniej dobra śmierć.

To oczywiście pytanie filozoficzne, czy i na ile śmierć może być w ogóle dobra. W tej chwili na to pytanie wyczerpującej i szczerzej odpowiedzi nie jestem w stanie udzielić. Bo do tej pory nigdy przecież jeszcze nie umierałem. Kiedy już będę miał to doświadczenie za sobą, chętnie się nim podzielę.

Ale czarny humor na bok. W uproszczeniu chodzi o to, żeby nie dokonać życia, skowycząc z bólu, będąc głodnym i opuszczonym, samotnym w deszczu, śniegu i chłodzie, leżąc gdzieś w brudzie pod płóciem. Bo mimo wszystko lepiej chyba jednak umierać w suchym i ciepłym domu, na miękkim, wygodnym posłaniu, bez bólu, w otoczeniu istot, z którymi ci było dobrze. Istot, które kochasz. Które kochają ciebie.

Moim zdaniem tak właśnie odchodzą psy w hospicjum „Staruszkowo”, kiedy już przyjdzie na nie czas. A czas przychodzi przecież na każdego.



bez psa
jest tylko
zwykłym
mieszkańcem

ISBN 978-83-67222-82-2



9 788367 222822



SILVA
RERUM